

[✍] PAWEŁ KOZIOŁ

Łacina w burze tłumaczeń

Aby wywołać skandal, można na przykład zacytować dokument. W roku 2025 podpisałem umowę z Instytutem Slawistyki PAN, obiecując przygotować „przekłady i adaptacje tekstów staropolskich oraz staropolsko-łacińskich” do książki *Polemiki religijne wokół Unii Brzeskiej. Podręcznik dla humanistów* pod redakcją dr hab. Katarzyny Kotyńskiej.

Podpisałem, a potem przeczytałem to jeszcze raz. Powoli. Dopiero wtedy dotarło do mnie, ilu ten zapis potrzebuje wyjaśnień.

Powstaje oto podręcznik, którego aneks – bo moja praca idzie do aneksu – będzie zawierał nie teksty źródłowe, lecz coś, co oficjalnie nazwano ich „adaptacją” bądź „tłumaczeniem z języka staropolskiego”. Wersja pierwsza brzmi nienaukowo i nieściśle, druga natomiast powoduje, że jak tylko książka wyjdzie drukiem, zacznę się przedstawiać jako tłumacz z polskiego na polski – na tej samej zasadzie, na jakiej inni współpracownicy projektu są tłumaczami tekstów napisanych w języku ruskim.

Paradoks polega na tym, że gdy tak to opisać, oni robią coś normalnego, a ja uskutečniam osobliwy eksperyment. Natomiast jeśli spojrzeć na same teksty, to taki podział zadań oznacza, że sposób i stopień ich obróbki będą z grubsza podobne. Nie chodzi o dosłowne odwzorowanie oryginału, lecz o dostępność – projekt zakłada, że podręcznik może być dla czytelnika pierwszym źródłem informacji o Unii Brzeskiej. Przyjęcie zwykłej strategii, w której tekst staropolski jest podda-

wany redakcji, a staroruski tłumaczeniu, sprawiłoby, że polszczyzna brzmiałaby starzej i mniej przystępnie. Dlatego w tym szczególnym przypadku przekład z polskiego na polski przestaje być absurdem.

Jakim cudem jest to możliwe? Otóż śmiem twierdzić, że między warsztatem tłumacza a badacza literatury epok dawnych istnieje wiele podobieństw oraz zaledwie jedna drobna różnica: ten drugi przedstawia odczytanie, a nie tekst staropolski oddany w polszczyźnie współczesnej. I wbrew pozorom nie jest to gest neutralny. Dopóki się interpretuje – tekst jest bliski. Tę bliskość można zapisać po stronie zysków, dowodzić swojej wspólnoty z Janem Kochanowskim, a na Sępie-Szarzyńskim, jak ja kiedyś, uczyć się poetyckiej składni. A gdyby zamiast tego budować świadomość, że polszczyzna wieku XVI czy XVII, nie wspominając już o czasach wcześniejszych, w praktyce zachowuje się jak język obcy? Że inny słownik, inna kultura i zapieczone w nią konflikty, inne nawet państwo? Jak wówczas zmieniłby się bilans?

Strategię tłumaczenia w ramach jednego języka dałoby się uzasadnić i nie byłbym w tym pierwszy. Pozostając przy Kochanowskim, do wyboru mamy wywrotowe Garutko sobotniej ropy Krzysztofa Bartnickiego i uczytelniającą oryginał *Odprawę posłów greckich* w wersji Antoniego Libery. Pozostaje kwestia adaptacji, którą usprawiedliwić będzie nieco trudniej.

Widziałem raz naukowca, Adama Karpińskiego, który zatrzymał się na jej progu. I obrazowo, przed oczyma duszy mojej, sce-

nę z czasów studiów wyobrażam sobie właśnie w ten sposób, choć przecież opowiadając o swym najnowszym spostrzeżeniu, Karpiński zdążył drzwi zamknąć i podejść do tablicy. Dziś nie pamiętam, czemu tego dnia planował poświęcić konwersatorium. Ta wiedza się zatarła, ponieważ profesor od progu stwierdził, że ma problem, a zaraz potem przytoczył wersy:

Więc co tam spokojnego, gdzie burza ustawna?
Przeto woli mej rada (rządzić się nie sprawna),
Chętne żagle rozwiła ku Twej, Panie, chwale,
Ty mię wiedz, Ty sturuj sam; tak skończę bieg wcale.

(Mikołaj Sęp-Szarzyński, *Pieśń IX. Iż próżne człowiecze staranie bez Bożej pomocy*)

(Jeśli tekst staropolski jest utworem obcojęzycznym, to potrzebujemy słownika. *Ustawny* znaczy „ustawiczny, ciągły”; w *rządzić*, prócz znaczenia współczesnego, pobrzmiewa sens „kierować, sterować”, jak w czeskim *řidit*; wcale to „w całości”; *nawa* to „okręt”. Nie ma nawy? Będzie).

Potem padło pytanie z gatunku tych, w których chodzi o wszystko (i poniekąd chodziło, bo Karpiński przygotowywał wówczas nowe wydanie poezji Sępa, spośród wszystkich poetów staropolskich generującego bodaj najwięcej sporów interpretacyjnych). Pytanie brzmiało: czy coś w tym tekście się nie zgadza. Parę dodatkowych wyjaśnień nakierowało w końcu uwagę słuchaczy na domniemany defekt z dziedziny filozofii bądź teologii. Czym mianowicie jest „woli mej rada”? Rozum i wola, w świetle dowolnej dostępnej Sępowi teologii, to są zupełnie różne władze umysłowe. Następnie profesor zrobił efektowną pauzę i wyrecytował:

Przeto woli mej nawa (rządzić się nie sprawna)...

Poprawka przekształca podejrzaną fragment w spójny obraz, w którym duszę reprezentuje okręt.

Tydzień później po profesorskiej ekscytacji nie pozostał ślad. Również od progu Karpiński powiedział nam, że mu nie wolno tego z Sępem zrobić, bo tekst źródłowy nie pozostawia miejsca na podobną interwencję. Nawa nieodwołalnie odpłynęła do przypisu.

Oprócz szacunku względem oryginału, za decyzją przemawiała reguła, że w procesie przepisywania, nieraz wielokrotnego, wersja łatwiejsza zastępuje trudniejszą, słowo częstsze wskakuje na miejsce rzadszego. Tekst może być zepsuty, ale gdyby „zacna osoba duchowna”, składająca zbiór wierszy po śmierci poety, pomyliła radę z nawą, podmianka nastąpiłaby raczej w drugą stronę. Dziwność tekstu jest znakiem jego autentyczności.

Jeżeli taką miałem edukację, to wolno domniemywać – i wolno to powiedzieć z barokową emfazą – że w jakiejś kuźni właśnie kończą wykuwać siekierę, którą zetną drzewo, z jakiego zrobią stół, pod który będę musiał wejść, aby odszczekać wszelkie pomysły związane z „tłumaczeniem” i „adaptacją”. Ale wstrzymajcie ręce, rzemieślnicy, przecież nie stało się jeszcze nic złego. W badanie dawnych tekstów wpisany jest dualizm, który dbałości o rekonstrukcję tekstu przeciwstawia ryzyko interpretacyjne, o jakie trudno w innych dziedzinach filologii. Adaptacja ani przekład bynajmniej tego ryzyka nie tworzą, skoro jest ono cechą pola badawczego. One jedynie przenoszą ryzyko w inne miejsce.

A i sama stabilność tekstu dawnego nie jest tak pewna, jak sugerują twarde okładki wydań Biblioteki Narodowej. Sęp, przed którego poprawianiem powstrzymał się Karpiński, nie znał na przykład przecinka. Zamiast niego słowa oddzielał skośną kreską, oznaczającą raczej pauzę niż podział składniowy. Że był przy tym poetą składniowych dwuznaczności, to samo przepisywanie go na współczesną interpunkcję staje się interpretacją – wyborem, które z alternatywnych, a równoprawnych odczytań podpowiemy czytelnikowi.

Na poziomie słów jest podobnie, bo ich pisownia nie była jeszcze ustalona. Mógł Kochanowski proponować własny sposób zapisu polskich słów, mógł Januszowski, dysponujący doświadczeniem drukarza, pracować nad odpowiednim dla polszczyzny krojem liter – ale brakło instancji władnej stwierdzić, że odtąd pisać musi się właśnie w taki sposób.

Poziomów niestabilności tekstu dawnego jest więcej. Błędy przekazu. Poprawki z dawnych wieków, aplikowane w dobrej wierze, lecz bez warsztatu, który się jeszcze

nie wykształcił. Decyzje estetyczne dawnych wydawców. Fałszerstwa. Wreszcie – niech padnie kłopotliwe słowo – adaptacje.

Bo gdyby adaptacja była grzechem głównym, filologowie nienawidziliby wszystkiego, co z Horacym wyczyniał Kochanowski. Zbyt łatwo jego parafrazy pieśni łacińskiego poety zamykać w łacińskich terminach *imitatio* (naśladowanie) i *emulatio* (próba współzawodnictwa z antycznym pierwowzorem). Terminy te wytwarzają historycznoliteracki dystans, z którego trudno zauważyć, że Jan z Czarolasu potrafił być przy tym ironiczny:

O mnie Moskwa i będą wiedzieć Tatarowie,
I różnego mieszkańcy świata Anglikowie;
Mnie Niemiec i waleczny Hiszpan, mnie poznają,
Którzy głęboki strumień Tybrowy pijają.

(Jan Kochanowski, *Pieśni XXIV z Księg Wtórych*)

Nadpisując swoje rymy nad tekstem Horacego (*Oda II, 20* z przemianą w łabędzia), Kochanowski zmienia nazwy narodów, wśród których jego poezja znajdzie czytelników. W miejsce antycznych barbarzyńców wpisuje najpierw wrogów Rzeczypospolitej. To adaptacja w stanie czystym: lęk z własnej epoki nadpisany nad tym z antyku. Następnie z oryginału przybywa Hiszpan. Dopiero na końcu są ci, którzy piją wodę z Tybru, czyli mieszkańcy Rzymu, jakby dla przypomnienia, że centrum świata można szukać gdzie indziej. I warto zapamiętać ten ton, świadczący o szukaniu własnego miejsca.

Jest naprawdę coś wzruszającego w tym, że wobec niestabilności swojego obiektu badań specjaliści od staropolszczyzny wciąż przejawiają tendencję do pracy na pojedynczych słowach, do zastanawiania się: rada czy jednak nawa, do poszukiwania w tekście śladów jakiegoś klasycznego cytatu, który pozwoli rozumieć całość inaczej. Często w tych rozważaniach ponosi się klęskę. Zdarzyło mi się to w licen-

cjacie, poświęconym poematowi *Światowa Rozkosz...* Hieronima Morsztyna. Główna bohaterka, pierwsza z korowodu alegorii, jest w nim prezentowana tak:

Rozkosz, wesota pani w złotorytej szacie
idzie jako paw strojna. Jeśli jej nie znanie,
pyszna jest, bo się trudno docisnąć chudemu
pachołku tam, gdzie ona przebywa...

(Hieronim Morsztyn, *Światowa Rozkosz zoch-mistrzem swym Dostatkiem i ze dwunastą swych służebnych panien*)

Uczepiłem się tu rzadkiego słowa „złotorytej” i założyłem, że musi być znaczące. Konkretnie: że odsyła do jakiejś ikonografii, że musi istnieć cykl rycin, na którym wzorowane są postaci z poematu, przez który kroczy nie tylko Rozkosz, ale i tuzin jej służek. Nic takiego jednak nie znalazłem, tylko kilka dalekich ech w *Ikonologii* Ripy.

Za to kiedy się trafia, kiedy na nowo odczytany drobiazg odwraca do góry nogami znaczenie całego tekstu, można się poczuć jak angielski poeta metafizyczny, któremu właśnie udał się koncept. To bardzo silne przeżycie estetyczne. Tym intensywniejsze, jeżeli do interpretacji dochodziło się przez lata, a potem nagle wszystko się zgodziło. Zdarzyło mi się to z jednym zdaniem *Kroniki* Galla Anonima:

Skoro tedy król Bolesław [Chrobry – P.K.] odszedł z tego świata, złoty wiek zmienił się w ołowiany.

Sens wydaje się prosty: po śmierci wielkiego monarchy zrobiło się źle. Jednak u Owidiusza i jego nieprzeliczonych naśladowców coraz gorsze epoki następują po sobie bez jakiegokolwiek odwołania do ołowiu. Myślałem zatem w pierwszym przybliżeniu: ołów jest miękki, miecza z niego nie zrobisz, zatem reprezentuje czasy gorsze niż wiek żelazny. Powiedzmy: militarną słabość Mieszka II. Po chwili przypomniałem sobie, że kiedyś już widziałem srebro i ołów w jed-

nym zdaniu. Był to skrótowy opis dawnych technik metalurgicznych, odnoszący się bodaj do kopalni w Olkuszu. Ołów topi się w stosunkowo niskiej temperaturze, więc używano go tam do wypłukiwania grudek srebra z wydobytej rudy. Źródło: stare egzemplarze „Młodego Technika”, czy raczej ich blade wspomnienie.

To już się robi ładne, już uzasadnia użycie przez Galla rzadkiego słowa, lecz zdanie jeszcze milczy. Przemawia dopiero po zestawieniu z cytatem z *Księgi Jeremiasza*:

Ołów został rozgrzany
na podwójnym ogniu przez miech kowalski.
Próżne wysiłki przetapiającego metal:
przewrotni nie dadzą się oddzielić.
Nazwijcie ich srebrem odrzuconym,
bo odrzucił ich Pan.

(Jr 6, 29-30, *Biblia Tysiąclecia*)

Ołów staje się zatem symbolem nieudanego oczyszczenia, czasu zaś, które w kronice symbolizuje, można określić jako epokę grzechu. Nie będę tu opowiadał, jak to rzutuje na całą treść dzieła, zainteresowanych odsyłam do pokonferencyjnego zbioru *Onus Athlanteum*. Niezależnie od dalszych meandrów rozumowania, dalsza opowieść przestałaby traktować o smaku odkrycia.

Smak jest to ostry, o czym przypomina łacińskie słowo *acutum*. Bo porównanie z konceptem nie miało być retoryczną sztuczką, lecz rozpoznaniem, w dodatku dokonany z punktu widzenia dawnej teorii literatury. Maciej Kazimierz Sarbiewski, polski poeta piszący po łacinie, napisał również traktat *De acuto et arguto*. Samo *acutum* definiował zaś jako punkt, w którym zbiegają się i łączą dwie linie rozumowania: jedna zgodna z tym, co napisano w wierszu do tej pory, druga – niezgodna i niespodziewana. Prawda, że to to samo?

Tu można zadać pytanie: czy odnalezienie takiego interpretacyjnego *acutum* na pewno stanowi mniejszą ingerencję

w tekst niż nieoczywisty wybór translatorski? Bo moim zdaniem te działania są na pewnym poziomie tożsame. Przypis z odpowiednio radykalną zawartością funkcjonalnie robi to samo, co zmiana w tekście głównym.

Oczywiście pozwalam sobie w tym esej na barokową przesadę. Nie dlatego, żebym w to, co piszę o interpretacji dawnych tekstów, nie wierzył. Powód jest inny: zgodnie ze wskazówkami Sarbiewskiego zestawiam tutaj rzeczy do siebie nieprzystające. Po tłumaczeniu / adaptacji na potrzeby podręcznika nie spodziewajcie się znaczeniowych fajerwerków. Prędzej do oryginalnej frazy „język atramentowy” dopisze się po przecinku słowa „język pisma”, by tekst był czytelniejszy. Prędzej podzieli się długie zdania na krótsze, a frazy łacińskie odda w języku polskim.

Właśnie, łacina. Teksty staropolskie były często inkrustowane wstawkami łacińskimi. Uczenie mówi się o nich „makaronizmy”, w sytuacjach mniej formalnych zdarzało mi się słyszeć „o, jaki ładny makaron”. Nie był to zabieg uniwersalny – wyłamywali się z niego przede wszystkim poeci. Taki na przykład Wacław Potocki rezygnację z „makaronu” uzasadniał dość przewrotnie: darząc łacinę większym szacunkiem niż polszczyznę, powstrzymywał się od takich wstawek i porównywał je do łatania blachą dziur w słomianej strzesze.

Jednak w tekstach, powiedzmy, użytkowych łacina pojawiała się często – na prawach utrwalonego wyrażenia, krótkiego cytatu czy nawet czegoś na kształt akcentu logicznego albo wytłuszczenia, sposobu na podkreślenie jakiegoś elementu wywodu. Tak, jak w poniższym przykładzie, gdzie po łacinie było ostatnie, rymowane zdanie.

Dlaczego zaś nauki łacińskie są potrzebne naszemu narodowi? Po pierwsze, żeby naszej biednej Rusi głupią Rusią nie nazywano. [...] Pojedzie nieborak Rusin na trybunał, na sejm, na sejmik, do urzędników grodzkich albo ziemskich: bez łaciny płaci winy. Ani z niego sędziego, ni prawnika, ni rozumu, ani pośta, a tylko, jak naiwna łania, wytrzeszczywszy oczy, to temu, to owemu się przypatruje. Nie trzeba nas zaganiać i do greki: staramy się oni przy łacinie, że, jak Bóg da, to chór grecki będzie, łacina w urzędzie.

(Sylwester Kossów, *Exegesis*, tłumaczenie z polskiego na polski: Paweł Kozioł)

W oryginale akapit kończył się *Graeca ad chorum, Latina ad forum*. Polska wersja tego zdania jest szczęśliwym efektem translatorskiej głupawki. Bo wiadomo, że nie

mogłem napisać „Greka w kościelnym chórze, a łacina w biurze” ani „pieśń niech grecka płynie, wyrok – po łacinie”. Po kilku takich próbach pojawiła się jednak fraza całkiem dopuszczalna.

Jednak aby zrozumieć rzeczywiste znaczenie łaciny nie tylko jako języka urzędowego, ale pasa transmisyjnego dla wiedzy i kultury, potrzeba trochę kontekstu. Ja też wchodziłem w ten projekt bez jego znajomości, uzbrojony głównie w wyczucie, jak dawne słowa kleją się ze sobą. Tymczasem już przy *Exegesis* Kossowa, z którego pochodzi powyższy fragment, stałem się świadkiem wojny kulturowej na dwa fronty. I to wojny nadzwyczaj gwałtownej:

Uderzyły w nas takie pioruny, gromy i trzaskawice, że język atramentowy, język pisma, nie jest w stanie tego wypowiedzieć. W tym czasie, wypowiadawszy się, czekaliśmy tylko, kiedy zechcą nami nadziać księcia dniewprowych jesiotrów, albo kiedy nas wyślą na tamten świat, jednego ogniem a drugiego mieczem.

(Sylwester Kossów, *Exegesis...*)

Sylwester Kossow zmarł w roku 1657, szczęśliwie nie w tak dramatycznych okolicznościach. Żadnego ognia, żadnego miecza, nic też nie wyszło z utopienia go w Dnieprze, by następnie jego zwłokami utuczył się przeszło dwumetrowy jesiotr. Zamiast tego już w roku wydania *Exegesis* doczekał się on prawosławnego biskupstwa, a żywota dokonał jako metropolita kijowski. Wcześniej był profesorem filozofii i retoryki w Akademii Mohylańskiej, a jeszcze wcześniej – uczniem wileńskiego kolegium jezuickiego. Już ta garść faktów pozwala określić, w jak delikatnym położeniu się znajdował.

Powodem była Unia Brzeska, czyli próba połączenia chrześcijaństwa prawosławnego i łacińskiego, dokonana w roku 1596. Niektórzy duchowni prawosławni przyjęli wówczas zwierzchność papieską i katolickie dogmaty, zachowując dotychczasowe formy liturgii. Kossów pozostał przy prawosławiu, więc z racji wyznania i piastowanych stanowisk sprzeciwiał się zjednoczeniu Kościołów. Jednocześnie jego formacja intelektualna była łacińska, co – jak widać z cytatu – w oczach przeciwników praktycznie zrównywało go z unitami. Tymczasem wiara w łacinę jako uniwersalny język Rzeczypospolitej nie była dla Kossowa równo-

znaczna z grzechem przyjęcia łacińskiej wersji chrześcijaństwa. Te dwie linie nigdy nie miały się zbiec w *acutum*.

Tu dochodzimy do miejsca, w którym redakcja, tłumaczenie i adaptacja pozostają jednakowo bezradne. Redaktor stwierdzi: dołożyłem wszelkich starań, aby czytelnik uzyskał dostęp do oryginalnego tekstu. Tłumacz odpowie: zrobiłem wszystko, by odzwierciedlić ducha utworu, a tekst pozostał zrozumiały i równie efektowny, co oryginał. Adaptator zaliczytuje: dostosowałem tekst do odbiorcy. I wszyscy przegrają. Bo jak sprawić, żeby współczesny czytelnik poczuł, że racja albo błąd w tych sporach są dla Kossowa kwestią zbawienia bądź potępienia? Jak wytłumaczyć jego postawę, która dla wszystkich stron wyglądała jak translatorski skandal: próba przetłumaczenia prawosławia na łacinę, ale bez połączenia się z łacinnikami?

Sukces w tym względzie wymagałby zapewne dokonania drastycznej operacji na kanonie literatury polskiej. Dopisania Kossowa – także autora polemik religijnych i żywotów świętych – w taki sposób, by zajął miejsce obok Piotra Skargi, z którym zresztą polemizował.

Na koniec, choć zaczęło się od podobieństwa, trzeba wskazać jedną różnicę między interpretacyjnym *acutum* a wysiłkiem tłumacza. Owszem, dochodzą one do tego samego rozumienia utworu, choć w innym miejscu zostawiają ślad: interpretacja w komentarzu, przekład bezpośrednio w swoim tekście. Ale *acutum* – puenta, czyli punkt przecięcia – oznacza zatrzymanie. Interpretacji wystarczy, że raz osiągnie ostrość, przekład tymczasem żąda defokalizacji. Linie, które się zbiegły, rozbiegają się ponownie, bo tekstowi daleko jeszcze do zakończenia.

I tylko czasem dadzą znać o swoim istnieniu w najmniej spodziewanym momencie. Wtedy, kiedy na przykład Atanazy Kalnofojski w dziele, którego tytuł zaczyna się od słów *Teratourgēma Lubo Cuda Ktore*

Były Tak W Samym Świętoudotwornym Monastyrze Pieczarskim Kiiowskim iako y w obudwu Świętych Pieczarach... narzeka na drukarza.

Noty marginalne tenże drukarz w niektórych miejscach umieścił za wysoko, winnych – za nisko. Czasem stało się to po prostu zignorancji, a czasem z braku miejsca. Te błędy nie stanowią jednak żadnej niewygodności dla Cerkwi. Tenże, nie znając zbyt dobrze łaciny, grzeszył przeciwko niej, tekst i cytaty raz sklejał, innym razem rozłączając.

(Atanazy Kalnofojski, *Teratourgēma*, przekład lub adaptacja: Paweł Kozioł)

Na poziomie technicznym ciekawi mnie jedna kwestia: czy powyższe zdania zostały złożone później niż reszta książki, czy też Atanazy wspominał wcześniejsze, niezbyt dobre doświadczenia z tym samym drukarzem. Jakkolwiek by nie było, obawy dotyczące składu i kształtu graficznego książki brzmią całkiem współcześnie. Chęć podkreślenia, że błędy są cudze – coś bardziej naturalnego!

Ale jeśli pamiętamy o dylematach Kossowa, powyższy fragment staje się również swoistą formą rytuału przejścia. Autor piszący żywoty prawosławnych świętych udowadnia, że należy do tej samej kultury, co zapisywane przez niego łacińskie litery. Albo jeszcze mocniej: że za jego sprawą wyraźniejszy się staje ów punkt (*acutum*), w którym się przecinają łacina i prawosławie.



PAWEŁ KOZIOŁ

– ur. 1979. Poeta, programista, badacz literatury dawnej. Autor dwóch powieści: *Wariant La Plata* (KIT Stowarzyszenie Żywych Poetów 2022) o polskich szachistach w czasie II wojny światowej i *Azard* (Drzazgi 2025) o przedwojennym zamachu na warszawską Cytadelę, którego nie było. Naukowo zajmował się kronikami średniowiecznymi i poezją barokową. Przekłada dawne teksty z polskiego na polski.